

Lekcja II Rzeczypospolitej

Rafał A. Ziemkiewicz 10-11-2012,



autor: Piotr Mecik źródło: Forum

Niepodległości nie byłoby zarówno bez Piłsudskiego w Warszawie, jak i bez Dmowskiego w Paryżu. Obaj wielcy rywale doskonale zdawali sobie z tego sprawę.



Odzyskanie niepodległości nie było cudem. Owszem, przyszedł moment korzystnej koniunktury, ale najważniejsze, że Polacy byli wystarczająco świadomi swoich celów i silni, by koniunkturę tę wykorzystać

Odzyskanie niepodległości w roku 1918 było możliwe dzięki odrobieniu przez Polaków lekcji z klęski zarówno przedpowstaniowych białych, jak i czerwonych. Polityka ugody, negocjacji, którą starał się zaszcześcić w rodakach Aleksander Wielopolski, nie napotykała gotowości drugiej strony. Ani Rosja, ani Prusy nie były niczym mniej zainteresowane niż ostatecznym spacyfikowaniem żywiołu polskiego na swoim terenie, w Austro-Węgrzech zaś, gdzie polityka ugodowa konserwatystów znalazła podatny grunt, jej efektem nie było wcale przybliżenie polskiej niepodległości, lecz raczej wciągnięcie polskich elit w służbę interesom wielonarodowej monarchii. Jednakże powstańcze mrzonki tylko przyspieszały wyniszczenie narodowej – jak wówczas mawiano – „substancji”, służąc raczej interesom zaborców niż Polaków.

Odpowiedzią Polaków na przegrane powstanie, fiasko „realizmu” oraz skrajnie niekorzystną konfigurację międzynarodową (po przegranej Austrii i Francji z Prusami oraz zjednoczeniu przez te ostatnie Niemiec) była samoorganizacja. Pierwsi sformułowali ten program Liga Narodowa i działacze skupieni wokół Romana Dmowskiego, ale został on podjęty przez ludowców i niepodległościowy nurt lewicy. Niepodległość, gdy znalazła się w zasięgu ręki, wywalczona została przez wychowanków Zetu, towarzystw gimnastycznych i strzeleckich, uniwersytetów ludowych, przez masowo pozyskanych dla sprawy polskiej chłopów, potomków tych samych, których obojętność lub otwarta wrogość były przyczyną klęski dotychczasowych narodowych powstań.

Marek Nowakowski napisał swego czasu eseik o przedwojennym Grodzisku Mazowieckim. Samo wymienianie licznych organizacji samopomocowych i samokształceniowych, kulturalnych i zawodowych, towarzystw ziemiańskich i włościańskich, sportowych, dobroczynnych etc. działających w okresie II RP w tym niewielkim przecież miasteczku zajęło mu kilkanaście stron.

A Grodzisk nie był żadnym wyjątkiem. II RP miała bardzo silną tkankę obywatelską, jej ruchy polityczne zakorzenione były głęboko i wrastały mocno w społeczeństwo. Było to owocem tamtej aktywności, „pracy u podstaw” rozpoczętej po klęsce powstania styczniowego.

Na kilku fortepianach

Toczono niegdyś namiętne spory o to, kto miał większe zasługi dla niepodległości. Ich wyrazem były spory o datę, która powinna symbolizować odzyskanie suwerenności, będące rozłożonym w czasie procesem. Piłsudscy, budując dla legitymizacji swej władzy kult marszałka, narzucili 11 listopada jako rocznicę przejścia przez niego władzy w Warszawie. PRL-owscy komuniści skłonni byli ostatecznie zgodzić się na uczczenie niepodległości, ale pod jakąkolwiek inną datą – wybrali 7 listopada, dzień proklamowania rządu Daszyńskiego. Swoistą „nową świecką tradycją”, zaproponowaną ostatnio przez prawicę konserwatywną, jest obchodzenie rocznicy niepodległości 6 października dla upamiętnienia proklamacji suwerenności Rady Regencyjnej. W logice tego wrywania sobie zasług mieściły się również ataki na Marsz Niepodległości, w których odmawiano narodowcom, odwołującym się do dziedzictwa Młodzieży Wszechpolskiej i ONR, prawa do świętowania „piłsudczykowskiej” daty.

W istocie z dzisiejszej perspektywy spory te zupełnie nie mają sensu i pogodzenie się przez narodowców z datą 11 listopada, zamiast szukania „swojego” dnia niepodległości (można by na przykład celebrować pamięć sławnego improwizowanego przemówienia Dmowskiego na konferencji w Wersalu, którym przekonał przywódców europejskich do wsparcia polskich aspiracji), dowodzi politycznej dojrzałości, a nie – jak insynuowały autorytety pokroju profesora Nałęcz – historycznej ignorancji. Elementarna wiedza każe bowiem przyznać, że niepodległości nie byłoby zarówno bez Piłsudskiego w Warszawie, jak i bez Dmowskiego w Paryżu. Obaj wielcy rywale zdawali sobie zresztą z tego doskonale sprawę. Piłsudski, wiedząc, że dla decydujących o przyszłości mocarstw jest sojusznikiem przegranych Niemiec, otwarcie mówił: „Daję panu Dmowskiemu jak najmocniejsze karty do ręki”. Dmowski, zdając sobie sprawę, że endecja jest nie do przyjęcia dla Niemiec i Wielkiej Brytanii i objęcie przez nią władzy stworzyłoby silny front przeciwko Polsce, powstrzymywał na początku lat 20. zapędy swych krajowych współpracowników, prących do wykorzystania faktu, iż ich popularność w społeczeństwie była znacznie większa niż piłsudczyków.

Jest to niezauważany zwykle aspekt sprawy, zapomniany z najbardziej dla nas fatalnym skutkiem. W polityce międzynarodowej grać trzeba na różnych fortepianach. Gdy Europę rozdzierała walka pomiędzy Napoleonem a kolejnymi antyfrancuskimi koalicjami, po

jednej ze stron mieliśmy Poniatowskiego, po drugiej Czartoryskiego. Dzięki temu drugiemu po upadku Napoleona sprawa polska nie została w Wiedniu ostatecznie „pozamiatana”, a dorobek pokolenia legionów nie uległ całkowitemu zaprzepaszczeniu. Odzyskanie suwerenności nie byłoby możliwe – jako się rzekło – gdyby nie fakt, że Polacy w każdym wypadku mieli swojego przedstawiciela w zwycięskim obozie. Amerykańscy maklerzy giełdowi ujmują tę oczywistą zasadę wskazaniem: „Nie wkładaj wszystkich jajek do jednego koszyka”. Współczesna klasa polityczna, przyuczona, żeby myśleć o polityce w kategoriach „jedynej słuszności” i europejskiego pięknoduchostwa, niestety zasadę tę notorycznie łamie.

Odzyskanie niepodległości nie byłoby wiele warte, gdyby ówczesni Polacy nie umieli jej obronić. A zagrażały jej nie tylko osłabione, ale wciąż dużo silniejsze Niemcy, starające się o zachowanie Śląska, Wielkopolski i Warmii, nie tylko słabiej zorganizowane, ale pozbawione skrupułów irredenty żywiołów narodowościowych na Kresach, lecz przede wszystkim potężny najazd bolszewicki, dążący do połączenia się po naszym trupie z żywiołami rewolucyjnymi na Zachodzie. Odparcie tego najazdu było nie tylko aktem wielkiego bohaterstwa polskich żołnierzy oraz mobilizacji i ofiarności społeczeństwa, ale także – czego dziś, bardzo niemądrze, zupełnie nie akcentujemy – owocem znakomitej organizacji i mądrego zarządzania. To, że wyniszczona wieloletnimi zmaganiem wojennymi na swym terytorium, rekwizycjami i rabunkami, ledwie przystępująca do odbudowy Rzeczpospolita zdołała – mimo obojętnej lub nieżyczliwej postawy większości sąsiadów (w decydującej chwili jedynej pomocy doczekaliśmy się od Węgrów) – zorganizować, uzbroić i wyposażać setki tysięcy żołnierzy, przetransportować ich na front i zaopatrzyć, było sukcesem nie mniejszym od wojennego bohaterstwa, bez którego największa nawet waleczność nic by nie dała. Odzyskanie niepodległości stanowiło fantastycznie zdany sprawdzian obywatelskiej dojrzałości.

Oddech przed burzą

Polska, która w wieku XVIII zeszła do grobu jako państwo archaiczne, feudalne, niezdolne do rozwiązania elementarnych problemów społecznych, odrodziła się jako nowoczesne państwo europejskie, pod wieloma względami wyprzedzające zachodnie. I choć republikański mechanizm polityczny wkrótce się zaciął,

II RP zdołała w szybkim czasie, w bardzo niesprzyjających warunkach, scalić trzy zabory, przewyciężyć cywilizacyjne zacofanie i stworzyć podwaliny pod przyszły rozwój. Zabrakło czasu i politycznej roztropności, aby zdobycze te utrzymać – dwudziestolecie okazało się jedynie oddechem, odzyskaniem sił przed kolejnym, jeszcze trudniejszym do przetrwania zaborem. Bez wątplenia oddechem, bez którego przetrwanie okupacji sowieckiej byłoby niemożliwe. Tylko tyle czy aż tyle?

Listopad 2012

Uważam Rze